

# RODZINA

## PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Nr. 12.

BEZPŁATNY DODATEK.

Rok 1927.

### Kawałek chleba.

Młody i żywy Stefan był synem leśniczego w dobrach prywatnych Dębicy. Raz wypadło staremu ojcu jego odnieść pieniądze do dworu, które za sprzedane w lesie sążnie zebrał, a które co Sobota osobiście dziedzicowi dostarczał. Do wsi, w której dziedziec mieszkał, była dobra mila i to przez górzystą okolicę, zarosłą gęstym lasem. Stary leśniczy niedawno zwichnął nogę na polowaniu, więc mówi:

— Oj ciężko mi to będzie ciężko; ale cóż robić? kazano, trzeba iść.

Słyszac to Stefan, przybiegł do ojca, a pocałowawszy go w rękę, rzecze:

— Mój tatuś, a toć ja mam lat szesnaście, zdrowe nogi; daj mi list i pieniądze, a za dwie godziny już będę z powrotem. Znam drogę, niczego się boję; a zresztą wezmę tę małą fuzyjkę ojca i przebiegnę sobie do dworu.

— Kiedy tak, — mówi ojciec — to idź z Panem Bogiem. Tylko pamiętaj oddać list samemu dziedzicowi, bo pieniędzy jest dosyć, więc pilnuj, żebyś Boże uchwaj nie zgubił gdzie w drodze. A przy tem pan zawsze mi dawał parę złotych za fatygę, więc i ciebie gratka nie ominie.

Ojciec jak najlepiej opowiedział Stefanowi drogę, poczem syn wzięwszy fuzyję na plecy i torbę, wesoło ucałował rękę ojca i puścił się ku dworowi.

Przybywszy do wsi wskazanej, zapytał się lokaja o samego pana, a gdy go wpuszczono do pokoju, oddał mu list wraz z pieniędzmi. Niestety chciało, że dziedziec właśnie miał gości, i Stefan zastał go grającym w karty; czy więc nie miał czasu, czy też zapomniał, dość, że przewidziana od leśniczego gratka minęła Stefana, bo dawszy mu kwitek na odebrane pieniądze, przemówił:

— Dobrze chłopcze, dobrze, możesz sobie odejść.

Zasmucił się tem Stefan, bo biedak był głodny i strudzony; szedł więc ze spuszczoną głową przez dziedziniec, gdy spotkała go kucharka dworska wracająca z warzywem do kuchni. Litościwa była ta kobieta; więc poznawszy z miny chłopaka, że głodny, zaprosiła do kuchni i uraczyła czem mogła.

— Nie miej żalu do naszego pana, — rzekła mu, gdy Stefan zdjawszy fuzyję i torbę, usiadł sobie przy stoliku w kuchni. — Widzisz, on nie myśli o takich rzeczach, bo ma więcej na głowie, ale nigdy się nie gniewa, gdy my sami co ludziom damy.

Podjadłszy sobie dobrze, Stefan podziękował kucharkę, wesoło znów puścił się ku domowi. Le-

dwie atoli uszedł kilka set kroków, gdy spostrzegł w lesie między starymi dębami żywo skaczącą wiewiórkę. Zdawało mu się, że młoda, więc dalejże gonić dalejże ploszyć ją z drzewa na drzewo, i tak dalej w las biegł za nią, aż wreszcie zabłądził. Ot źle, pomyślał sobie, i porzuciwszy wiewiórkę, zaczął szukać drogi. Ale nie to tak łatwo w wielkich lasach i to jeszcze nieznanemu trafić do miejsca, ząd się wyszło. Chodził więc dzień cały, noc zapadła o on zmęczony, spragniony, to w tę to w ową stronę biegł i wracał się i skręcał, aż pełen strachu i trudu schował się między niskie krzewiny i zasnął. Sen jego był niespokojny; skoro więc pierwszy brzask pojawił się na niebie, zerwał się z miejsca, krzyczał, płakał, wołał, biegając tu i owdzie; lecz wszystko było na próżno. Rozpacz jego i przestach powiększyły się jeszcze więcej, gdy koło południa spostrzegł stado pierzchających jeleni, a nawet dzika z ogromnymi kłami, przed którym zatrzymując oddech, ledwo że ukryć się na drzewie potrafił. Nareszcie tak był zmęczony i głodny, że nie mogąc iść dalej ani też wołać o pomoc, upadł na ziemię i ze łzami prosił Boga o ratunek. Zajrzał potem do torby, czy nie znajdzie jakich okruszynek z chleba, który zabrał z domu na drogę i ten już spożył; lecz jakże się ucieszył i zdziwił, gdy poczuł pod ręką kilka gruszek i porządny kawałek chleba.

— To pewnie, — zawołał uradowany — pewnie to dobra kucharka do mojej torby włożyła.

Dziękował więc Bogu i przyrzekł uroczystie, że zawsze dla biednych, osobliwie dla podróżnych będzie ludzkim i miłosiernym; postanowił sobie także, iż jeżeli się kiedy majątku dorobi, pocziwają kucharkę Rozalję sownie wynagrodzi.

— Ona bowiem, — mówił do siebie — po Bogu najprzód uratowała mi życie. Bez tego kawałka chleba umarłbym pewno z głodu w tej puszczy.

Stefan pokrzepiony, wstał i z większą otuchą zaczął szukać drogi. Jakoż wkrótce usłyszał łoskot siekiery; za tym głosem przybył na miejsce, gdzie sążnie rąbano, a ludzie pokazali mu już drogę do domu. Powrót jego ucieszył bardzo rodziców, którzy widząc, że nie wraca dzień cały i noc całą, w okropnej zostawali trwodze.

— Widzisz Stefanie, — rzekł ojciec, — jak to źle robi człowiek, że daje się uwodzić pokusie i schodzi z prawej drogi. Dla marnej wiewiórki, której nawet nie dostałeś, mogłeś zginąć w lesie i umrzeć z głodu. Tej drodze przez las podobną jest droga naszego żywota: jak w boru owa zdradna wiewiórka, tak i w życiu niejedna żądza mami człowieka i



z drogi cnoty sprowadza. A jako ja tobie, nimeś odszedł, wskazałem pewną ścieżkę, tak i Pan Bóg w przykazaniach swoich wskazuje nam nieomylną drogę w ziemskiej pielgrzymce. Pamiętaj więc na to i nie daj się uwieść żadnej pokusie. Ani na prawo, ani na lewo nie schodź z prostej drogi; inaczej mógłbyś łatwo pobiłdzieć i nie dojść do mieszkania wiecznego, jakie nam Ojciec Niebieski u siebie zgotował.

Stefan wzrastając w lata, robił się też i coraz lepszym. Dobry strzelec, przy tem wierny, pracowity w służbie, z każdym dobrze się obchodził. Całe jego postępowanie było bez nagany. Ale jak sobie postanowił, tak szczególniejszą litość i szcudroblliwość okazywał dla biednych wędrowców. Nie zapominał o Rozalji, poszedł umyślnie, żeby jej podziękować; lecz ona już porzuciła służbę we dworze, i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje i gdzie się obraca.

W kilka lat potem Stefan się ożenił i dostał korzystne miejsce za leśniczego. Raz opowiadając żonie dawne przygody, wspominał także o dobrej Rozalji, która mu życie ocaliła. Nie mogąc jej odpłacić tego dobrodziejstwa, postanowili oboje przenieść swą wdzięczność na każdego z ubogich, którzyby ich wsparcia lub pomocy potrzebowali. A nie brakło im do tego sposobności, bo mieli na to i mieszkali koło samego gościńca.

Pewnego dnia wśród letniego upału poszła sobie pani leśniczowa ze szklanką po wodę do pobliskiego źródła. Na ławeczce z darni, którą Stefan dla wygody podróżnych urządził, zastała nieznajomą, schludnie ubraną kobietę. Widać było, że bardzo znużona, bo wzdychała ciężko, a koszyk i łaskę położyła obok siebie na ziemi. Leśniczowa ujęła smutną postawą podróżnej, przywitała ją uprzejmie, i od tego do tego przy rozmowie, zaprosiła ją do swego domu, poczęstowała, ośmielając swoją dobrocią i uprzejmością.

Zapytana od cel podróży, biedna kobieta wyznała, że jest żoną ubogiego kowala o dwanaście mil ztąd, że mąż jej niedawno chorował bardzo, że ta choroba zniszczyła całą ich zamożność, że przed tygodniem ostatnia krowa im padła, i że mając o kilkanaście mil mieszkającego i zamożnego brata, udała się do niego o pomoc i pożyczkę na kupno innej krowy.

— No, i jakże, brat dopomógł? — spytała żywo zajęta jej opowiadaniem leśniczowa.

— Brat był gotów pożyczyć mi ze dwieście złotych na krowę, ale bratowa nie chciała na to przystać, — odrzekła z płaczem kobieta. — Owszem wymyślała mi, że wstyd zrobiła familji, idąc za biednego kowala. Tak więc dostawszy kilka złotych pokryjomu od brata, wracam do męża i dzieci; nie wiem, czy mi tego na drogę wystarczy. Ale choć mi brat nie dał więcej, ja nie mam mu tego za złe; co mógł, to dał. Żal mi go, żal co prawda, — mówiła dalej, — ale więcej mi żal biednego męża i dzieci, którzy gorzko zapłaczą, gdy wrócę z próżnymi rękoma.

Tymczasem powrócił leśniczy z boru, łaskawie przywitał obcą kobietę, a żona zaraz mu opowiedziała, jak ją spotkała przy źródle i jakie biedaczka ma kłopoty.

— Dobrze, moja Zosiu, dobrze, — mówił leśniczy, — żeś przyjęła tę kobietę, czem Bóg dał; miłosierdzie dla obcych i podróżnych jest jednym z najświętszych obowiązków. — Potem obróciwszy się do przybyłej, rzekł: — Ja szczególniejszą mam jeszcze przyczynę do litości nad bliźnimi.

To powiedziawszy, usiadł przy stole, kazał dać wieczerzę i zaczął nieznajomej rozpowiadać o tem, jak ot Rozalja kucharka ocaliła go od głodowej śmierci, kładąc kawałek chleba do jego torby.

— O, mój Boże, — zawołała nieznajoma. — A też to ja byłem ową kucharką. Na imię mi Rozalja, panu na imię Stefan, prawda. A pański ojciec był leśniczym w Dębickich dobrach. Mogę panu powiedzieć nawet, com wtedyś dała mu jeść w kuchni: barszczyku talerz z kartoflami, kawałek schabu ze śliwkami; a torbę miał pan z borsuka i na niej był przyczepniony jeleni malutki z mosiądzu.

Pamiętam, pamiętam, jakieś pan narzekał na dzie-dzica, a ja go broniłam, mówiąc, że on daleko lepszy, niż się wydaje. O mój mocny Boże, kto by się też spodziewał, że ten kawałek chleba, tak panu będzie potrzebny. Myślałam sobie: młody, zdrów, a niuż mu się w drodze jeść zechce... włożę do torby i włożyłam, a i trzy gruszki, prawda? a i w rękę mię pan pocałował, chociem się wzbraniała.

— Tak, tak, moja pocziwa Rozaljo, pocałowałem i teraz całuję, — zawołał uradowany nad wszystko leśniczy, uściskawszy ogniste poczerwiałą rękę Rozalji. — Żono, Zosiu, co masz najlepszego, daj na stół. Bogu niech będą dzięki, że was jeszcze raz w tem życiu obaczył. Ja was zaraz poznałem, jak tylko można najlepiej; koniecznie Stefan chciał, żeby na kilka dni u nich pozostała, lecz ona nie chciała i nie chciała, mówiąc, że jej pilno do domu.

— O! to rzecz najmniejsza, przenocujcie Rozaljo, a jutro zaprzęgnę do wózka i odwieżę was tak daleko, jak tylko siły koniowi wystarczą. Gdyby nie rozkaz hrabiego, abym się pojutrze stawiał we dworze, do samego domu odwiózłbym was z ochotą.

Nazajutrz przed samym odjazdem żoną leśniczego do koszyka Rozalji nakładła różnych zapasów na drogę i upominków dla dzieci, a podając jej duży bochenek chleba ubrany w kwiaty i gruszki, rzekła:

— Wyście kiedyś mojemu mężowi kawałkiem chleba uratowali życie, niechże i ten chleb przyniesie wam tyle szczęścia, ile my go dziś z łaski waszej używamy.

Rozalja ze łzami w oczach podziękowała za gościnność i życzliwość, chleb zabrała nietknięty do domu. A nie był to zwyczajny bochenek, ale z najpiękniejszej maki, duży, wystrojony cukrami i z napisem i perełką na środku: „Wdzięczność“.

Stefan odwiózł ją coś ze sześć mil, a gdy wieczór się zegnali, uściskał ją najserdeczniej, obiecując, że wróci do nich z żoną przyjdzie.

Rozalja szła dalej wesoło, a zbliżając się do swej chaty, ujrzała dwoje biegnących ku sobie dzieci, które poznawszy matkę, rzuciły się w jej objęcia, a potem do koszyka.

— Czekaście, — odrzekła matka, — aż do domu przyjdziemy; nie trzeba być tak ciekawymi i łakomymi.

Na progu przyjął mąż wracającą. Wszli wszyscy do izby. Matka najprzód opowiedziała, jak się bratowa nieludsko z nią obeszła, i jako żadnych nie przynosi pieniędzy. Ta smutna wiadomość bardzo męża zmartwiła. Już go nawet łaskawe przyjęcie, jakiego Rozalja od leśniczości doznała, rozweselić nie mogło.

Matka tymczasem dobiła chleb z koszyka.

Dzieci na widok tak pięknie ustrojonego chleba zapomniały o wszelkiem strapieniu. Ojciec atoli mając łzy w oczach, rzekł:

— Dobry i chleb, ale z kąd teraz dostać pieniędzy na krowę?



Wtem matka krając chleb dla dziatwy, mocno się zdziwiła, bo noż utknął we środku i ciasto nie dało się rozkroić.

— A to co? — rzekła zdumiona. — To jakiś osobliwszy bochenek, być może, iż kawał drewna wpadł przypadkiem do ciasta, na co przy pieczeniu nie zważano.

Rozłamała więc z ciekawością bochenek, a tu brzęk, brzęk, syją się talary jeden za drugim. Dobra matka teraz taką uczuła radość, jak niegdyś Stefan, gdy niespodzianie znalazł kawałek chleba w torbie.

— O Boże kochany, — mówiła rozczulona, — teraz rozumiem! Zapewne leśniczy kazał żonie te talary włożyć do ciasta, abyśmy sobie krowę kupili i ratowali się od biedy.

Chłopczyk pobierał pieniądze i naliczył talarów trzydzieści.

— O! za to będziemy mieli piękną krowę, nie prawda mamuniu?

— I znowu dostaniemy chleba z masłem i mleka, — zawołała dziewczynka, z radości klaskając w ręce.

Ojciec zdjawszy czapkę z głowy, dziękował Bogu ze łzami za Jego świętą opatrność; matka i dzieci też samo uczyniły.

— Ów kawałek chleba, — rzekł ojciec, — jakiś dała Stefanowi, stokrotnie nam teraz został nagrodzony.

— To prawda, — odrzekła matka. — Każdy też datek choćby najmniejszy, lecz w miłości bliźniemu ofiarowany, dać może większą w niebie nagrodę odbierze.

— O dzieci, — rzekł ojciec nareszcie, — bądźmy miłosiernymi, a i dla nas będą miłosierni.

## Należy dzieci przestrzegać przed złem towarzystwem.

Wielkie nieraz grożą niebezpieczeństwa dzieciom ze strony dorosłych, ale nierównie jeszcze większe ze strony rówieśników i towarzyszy zabaw. Dzieci najwięcej skłonności mają do zabaw, do czego najchętniej szukają towarzystwa rówieśników. Stąd to pochodzą owe szczególne przyjaźnie, owe poufale stosunki, które aż nadto często widzieć można pomiędzy dziećmi. Oby tylko te zabawy, te przyjaźnie, owe poufale stosunki były zawsze niewinnymi.

Wtem wszakże leży dla dziecka największe niebezpieczeństwo, bo niech się między całą gromadką dzieci znajdzie choć jedno, które ze złem jest oswojone, to dosyć, by popsuły się wszystkie. Złe bowiem łatwiej przylega niż dobre; za cud prawdziwie należałoby uważać, jeśliby ów mały niegodziwiec nie udzielił trucizny złego swym towarzyszom. Stąd to pochodzą owe wcześnie i nigdy dosyć nieodżałowane zboczenia obyczajów u dzieci, których źródła widocznego nigdzie odkryć nie można. Chłopcy psują chłopców, a dziewczynki przyjaciółki. Złe to rozszerza się we wszystkich warstwach społeczeństwa, ale szczególnie występuje groźnie tam, gdzie biedne i opuszczone dzieci błąkają się bez dozoru po ulicach. Wielkie pole pracy społecznej stałe tu otwarte dla różnych towarzystw religijnych i społecznych, by gromadzić dzieci te zwłaszcza w lecie czy to na wspólne przechadzki do lasu, czy to na zabawy, na wolnem powietrzu, gdzie tym sposobem odrywa się dzieci od przebywania na ulicy bez dozoru i opieki. Dzieci zaś z wyższych stanów psują się przez stykanie się z dziećmi już zepsutymi.

Rodzice, jeśli dzieci wasze prawdziwie kochacie, postawcie tamę przeciw temu wszystko niszczącemu prądowi. Pozwólcie przyjaźnić się waszym dzieciom tylko z takimi rówieśnikami, których dobrze znacie i to zawsze pod waszym okiem, zabrońcie zaś bez żadnego względu od takich, którzy nie zasługują na wasze zaufanie. A może dziecko takie, to syn lub córka waszego krewnego, przyjaciela czy sąsiada. Nie wypada więc zrywać z nimi dla dziecka. Jednak lepiej rozłączyć się z nimi, choćby to nawet byli krewni, aniżeli narazić duszę dziecka swego na utratę cnoty.

Co jest gorsze, obraza Boga czy człowieka? Czyż nie lepiej narazić sobie ludzi, czy też odwrócić od siebie Tego, który wam dał krewnych i przyjaciół, a który sam tylko w dzieciach waszych może zachować łaskę poświęcającą. Wszak łaska ta jest dla nich dobrem najważniejszym, chroniącem je od wszelkich niebezpieczeństw czyhających na ich duszę.

## Wdzięczność i niewdzięczność dzieci.

Pewien książę, jadąc raz przez pole, spostrzegł chłopka, który siał żytko, a przytem wesoło wygwizdywał. Spodobał mu się, przeto przystanął i zapytał go o nazwisko. Chłopiec powiedział, jak mu na imię i jak się nazywa. Książę pytał dalej, czy to pole, na którym się, do niego należy?

— Nie, — odrzekł chłopiec, to pole nie jest moją własnością, ja jestem tylko najemnikiem u pewnego gospodarza i dostaję za moją pracę 1 złoty dziennie.

Książę zdziwił się bardzo, jak za taką niską sumę można wyżyć, a przytem jeszcze być tak wesołym. Zapytał się przeto chłopka, jak to możliwe? Na to ten tak odpowiedział:

— Byłoby to złą sprawą, gdybym ja sam tyle spożył. Ja tylko trzecią część tego zarobku zużywam dla siebie. Jedną trzecią częścią odpłacam dług, a ostatnią trzecią część składam na procenta.

Książę, gdy to usłyszał, zdziwił się i zapytał:

— Jakto być może?

Chłopiec prawił dalej:

— Zarobkiem moim dzielę się z memi rodzicami, którzy już pracować nie mogą i z memi dziećmi, którzy się pracować uczą; rodzicom wypłacam się za miłość i staranie, jakie mi wyświadczyli w mej młodości, to jest wypłacam dług; a starając się o dobre wychowanie dzieci, mam nadzieję, że i one mnie na starość nie opuszczą, to jest składanie pieniędzy na starość.

Czy to nie piękne słowa, czy nie pięknie myślał i działał ów chłopiec?

Książę polubił chłopka, zajął się jego losem, postarał się o wychowanie jego dzieci. Starzy rodzice, umierając, błogosławili dobrego syna, a dzieci jego odpłaciły mu się miłością, gdy się postarzał.

\* \* \*

Inna historia, nie tak ładna, ale wielce odczytania warta.

Pewien ojciec postarzał się, a jakto czasem starzy ludzie, stał się marudą i zrzęda. Przyczyną tego była także i choroba, która starego uciskała. Syn, zamiast mieć wzgląd na starca, gniewał się i przykreimi słowami go częstował. Stary ojciec postanowił tedy, usunąć się z ócz synowi i udać się do szpitala, jaki we wsi był. Syn bardzo się z tego ucieszył i rad był, gdy ojciec dom opuścił.



W szpitalu nie ze wszystkim się starcowi podobalo, to mu tego, to owego brakowało. Po kilku dniach tedy posłał do syna z prośbą, aby mu jeszcze ostatnią łaskę uczynił i kilka koszul przysłał.

Syn wyszukał dwie najlichsze; potem zawołał swego 10-letniego synka i rzekł do niego:

— Weźmij te dwie koszule i zanieś temu staremu marudzie do szpitala!

Synek usłuchał ojcowskiego rozkazu. Z zdziwieniem jednak spostrzegł ojciec, że synek, zamiast iść prosto do szpitala, skreślił na bok i jedną z koszul ukrył w kącie koło domu, pod kamieniem. Zawołał go tedy i zapytał:

— Czemuś jedną koszulę schował?

Na to synek:

— Ukryłem ją na to, abym miał ją pod ręką, gdy się wy zestarzejecie, to wam ją też dam, jak wy waszemu ojcu.

Dopiero wtedy poznał syn, jaką krzywdę swemu staremu ojcu czynił; wziął sobie do serca słowa dziecka, sprowadził ojca ze szpitala i opiekował się nim troskliwie.

— Czcij ojca i matkę twoję, gdy chcesz, aby ci się dobrze powodziło i abyś długo żył na świecie.

## Letnie sukienki.

Letnie sukienki mają tę stanowczą przewagę nad zimowymi, że są daleko tańsze, można więc ich sobie sprawić więcej. A ponieważ obmyślanie nowego stroju jest przyjemnością każdej kobiety, jest to więc poważnym plusem. Mowa tu nie oczywiście o jedwabnych, strojnieszyszych sukienkach, lecz o skromnych muslinowych, etaminowych, kreponowych i innych wdzięcznych i powiewnych, których największym bogactwem jest piękny dobór barw i deseni.

Jest też w sukienkach letnich kilka zasadniczych typów, które je urozmaicają. Pierwszy — skromniutki, dziewczęcy rodzaj sukienki sportowej, z kołnierzykiem, wiązanym pod szyją, mankietami przy długich rękawkach i paseczkiem trochę powyżej bioder, odcinającym zlekka wyrzucone plecy. Spodniczka w tych sukienkach bywa zwykle z lekka marszczona, układana w przyprasowane fałdy, plisy, czasem zaś w parę fałd, drobnitko zakarbowanych.

Drugi rodzaj — to sukienki również skromne i proste w linii, ale pozwalające sobie na pewien odskok od typu sportowego. Ulubionym fasonem zostaje jednak spódniczka przymarzczona z przodu z paskiem, spiętym klamrą, przytrzymującą kilka fałd t. zw. fason egipski. Modne są także fartuszki narzucające lub karbowane, zwisające od paska, a czasem — przez całą długość sukni, od wycięcia szyi. Wycięcia bywają dowolnego kształtu — modne są zarówno okrągłe, jak śpiczaste — zależnie od fasonu sukni dobiera się lepiej pasujące. Rękawki aczkolwiek przy sukniach fantazyjnych przeważnie krótkie, przy sportowych mogą być zarówno krótkie jak długie.

Kombinacja kolorowego jumperka z gładką spódniczką jest niezmiennie modna i elegancka.

Przy wszelkich fasonach fantazyjnych niesłychanie modne są połączenia materji gładkiej z deseniami. Pozwala to na użytkowanie zeszłorocznych i jeszcze dawniejszych sukienek, z których tanim kosztem można tworzyć nowe i eleganckie odmiany.

Dość rozpowszechnione są suknie z pelerynkami, przechodzącymi w rękawy — fason wdzięczny, ale opatrzący się, możliwy więc dla kogoś, kto ma dużo toalet. Wreszcie modna jest także nieśmiertelna

krzynolina, od kilku lat utrzymująca się na rynku mody jako fason nie królujący wprawdzie, ale zawsze tolerowany.

Co do kolorów, to śmiało można powiedzieć, że w lecie modne są wszystkie. Kolor chabrowy, jak można było przewidzieć, znudził się szybko już w sezonie wiosennym, w lecie jednak, wśród kilku innych sukienek, jedna w tym kolorze mniej się opatrjuje niż noszony codziennie kostjum.

## Rozmaitości.

### Władza papieża.

Kiedy słynny malarz włoski Michał Anioł (1457 do 1564) ukończył swoje nieśmiertelne dzieło „Sąd ostateczny”, który ku podziwowi Rzymu i całego świata odsłonięto w roku 1541 na ścianie Kaplicy sykstyńskiej w Watykanie, okazało się, że artysta umieścił między postaciami znajdującymi się w piekle podobiznę jednego z kardynałów, niejakiego Biagio, lubiącego krytykować prace mistrza. Podobieństwo, było tak uderzające, że każdy z widzów rozpoznawał w jednej chwili postać nielubianego kardynała. Ten, urażony wyrządzonym mu despektem, poskarżył się papieżowi Pawłowi III., prosząc go zarazem by rozkazał artyście usunąć z obrazu jego postać.

— Nie mogę ci nic pomóc w tym wypadku — odpowiedział papież — wiesz dobrze dokąd sięga moja władza. Gdybyś był w czyścisku, tobym ci mógł pomóc, ale z piekła...

### Małżeństwo w powietrzu.

Pan Doktor Orlovius jest czynnym członkiem-założycielem towarzystwa „Luft-Hansa“ i fanatycznym zwolennikiem lotnictwa. Cóż więc dziwnego, że postanowił związać się ze swoją ukochaną dożgonnymi węzłami małżeństwa... w przestworzach niebieskich? Młoda para, dwóch przez prawo wymaganych świadków, oraz niezbędny urzędnik stanu cywilnego zajęli miejsca w dużym samolocie pasażerskim, poszybowali w górę, dopełnili w powietrzu normalnych formalności, aktowi ślubnemu towarzyszących, poczem wrócili na ziemię. Nie na długo, coprawda, gdyż zaraz po zjedzeniu obiadu weselnego pan dr. Orlovius udał się wraz z żoną w podróż poślubną oczywiście również samolotem.

## ŻARTY I DOWCIPY.

### Bierz, co dają.

- Panie Izidor! Pożycz mi pan 100 złotych.
- Niestety, mam tylko 50.
- Nic nie szkodzi. Daj Pan te 50, a 50 będzie mi Pan winien!

### Monarchiści.

- Wiesz, gdy byłem nad morzem, grałem z królem w karty.
- Nic wielkiego! Ja grałem już z czterema królami i jednym asem.

### U sędziego śledczego.

- Co uczynił samobójca, kiedy go Pan wyciągnął z wody?
- Wyrwał się z moich rąk, pobiegł ku drzewu i powiesił się na nim.
- A dlaczego go Pan nie odwiązałeś?
- Myślałem, że powiesił się dlatego, aby wyschnąć.